

Biuletyn Instytutu Zachodniego



Nr 187/2015
16'09'15

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Korekta:
Hanna Różanek

Co dalej z przywództwem Ameryki?

We wrześniu 2014 r. Barack Obama wystąpił na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ z przemówieniem uznanym za jedno z najważniejszych w jego karierze prezydenckiej. Padły wówczas ważne deklaracje: „Dzisiaj stoję przed wami zdecydowany zainwestować amerykańską potęgę we współpracę z innymi narodami, by zmierzyć się z problemami XXI wieku”. Całe jego wystąpienie, stanowiące swego rodzaju wyznanie wiary w rolę Ameryki w niespokojnym świecie, dowodziło, że USA chcą dalej przewodzić światu, wyznaczając nie tylko cele działań na arenie międzynarodowej, ale też sposób i charakter rozwiązywania problemów. „Na tym rozdrożu, na którym się znaleźliśmy, mogę wam obiecać – kontynuował Obama – że Stany Zjednoczone Ameryki nie pozwolą się zniechęcić do czynienia tego, co czynić należy. Jesteśmy spadkobiercami dumnego dziedzictwa wolności i jesteśmy gotowi zrobić wszystko, żeby uchronić to dziedzictwo dla przyszłych pokoleń. Pomóżcie nam w tej wspólnej misji, dla dzieci dnia dzisiejszego i dla dzieci jutra”.

Były to niewątpliwie piękne słowa, przywołujące słynne przesłania prezydenta Th. W. Wilsona o posłannictwie dziejowym Ameryki i jej potędze moralnej lub zapamiętane historycznie wypowiedzi F. D. Roosevelta o amerykańskiej sile służącej ostatecznemu dobru czy J. F. Kennedy'ego o poświęceniu się Amerykanów bez względu na koszty – „*Pay any price*”, jak zwykł mawiać JFK. Pytaniem pozostało jednak to, czy w tym świecie „znajdującym się na rozdrożu” Stany Zjednoczone będą w stanie dalej pełnić rolę lidera.

Jak w bliższej i dalszej, ale możliwej do przewidzenia przyszłości będzie to przywództwo wyglądało? A może nastąpi degradacja amerykańskiej potęgi w takim stopniu, że Stany Zjednoczone przestaną być liderem?

Pytania można by mnożyć. Nie ulega wątpliwości, że amerykańskie przywództwo w świecie, trwające ponad 70 lat, *summa summarum* temu światu się opłaciło. Stany Zjednoczone angażowały się w rozwiązywanie problemów i sporów lub podejmowały zobowiązania, które wymagały poświęcenia, nie licząc specjalnie na profity. Wynikało to raczej z poczucia odpowiedzialności za porządek międzynarodowy i bezpieczeństwo w świecie. Nawet jeśli był to ład typu *Pax Americana*, oparty na sile amerykańskiej.

Podobnie jest dzisiaj – od Stanów Zjednoczonych dalej oczekuje się odpowiedzialności za porządek międzynarodowy i utrzymanie bezpieczeństwa. Nadal bowiem dysponują one potencjałem godnym supermocarstwa. Także w wymiarze ekonomicznym. Tym bardziej że w lecie 2015 r. chińska gospodarka, druga pod względem wielkości i powszechnie uważana za głównego konkurenta Ameryki, zaczęła wyraźnie zwalniać, potwierdzając niektóre wcześniejsze przewidywania lub zmuszając do rewizji zbyt optymistycznych dla Chin prognoz. USA zachowały też status supermocarstwa dysponującego największym potencjałem militarnym. Nadal na obronność wydają więcej niż dziesięć następnych krajów na liście razem wziętych (Chiny, Rosja, Wielka Brytania, Francja, Japonia, Arabia Saudyjska, Indie, Niemcy, Włochy i Brazylia). Nawet zakładając plany zmniejszania tych nakładów, Ameryka zachowa w nadchodzących latach miażdżącą przewagę militarną nad konkurentami.

Równocześnie przywództwo amerykańskie zatraciło wiele ze swych atutów. Jakby osłabła wola Ameryki przewodzenia. Zmniejszyła się też jej zdolność wpływania na bieg spraw i rozwiązywania konfliktów. Nawet militarne zaangażowanie USA nie gwarantowało sukcesu, czego przykładem była wojna w Afganistanie i Iraku, a ostatnio – walka z Państwem Islamskim. Wprawdzie Stany Zjednoczone czasu Obamy odzyskały zdolność budowania koalicji, pozyskiwania sojuszników i partnerów, którzy jednoczyli się pod amerykańskim przywództwem czy to w zbrojnym starciu, najpierw w Libii, a potem z Państwem Islamskim, czy w konfrontacji z Rosją, to jednak w tym wszystkim zabrakło zapału i pełnej determinacji administracji Obamy. W efekcie skutki są dalekie od oczekiwania. Rosja, choć dotknięta sankcjami gospodarczymi, nie tylko dalej inspiruje i wspiera separatystów na wschodzie Ukrainy, ale wysyła tam nadal swoich żołnierzy i sprzęt. Mamy więc w tym regionie groźny stan zawieszenia. Podobnie daleka od rozstrzygnięcia jest wojna z Państwem Islamskim. Pomimo trwających amerykańskich ataków radykałowie z kalifatu kontrolują duże połacie



wschodniej Syrii i zachodniego Iraku. Trwa też syryjska wojna domowa i tysiące Syryjczyków dobijają się do bram Europy, szukając tu schronienia i lepszego bytu.

Wprawdzie w lipcu 2015 r. podpisano historyczne porozumienie z Iranem, w którym Teheran zgodził się na znaczne ograniczenie programu atomowego w zamian za zachodnie obietnice zniesienia sankcji gospodarczych i politycznych, lecz to zwieńczenie amerykańskich wysiłków wywołało jednak wiele kontrowersji. Padają opinie, że jest to naiwność i kapitulacja ze strony administracji Obamy. Ta natomiast uważa, że w ten sposób odsunięto groźbę atomowego wyścigu zbrojeń na Bliskim Wschodzie, a nawet wojny z Iranem, że jest to historyczna szansa, aby otworzyć państwo ajatollahów na świat. Podobnym zamknięciem pewnej epoki lub przynajmniej wyznaczeniem nowego rozdziału we wzajemnych relacjach stało się ponowne nawiązanie w lecie 2015 r. stosunków dyplomatycznych z Kubą. Tak jak układ z Iranem wprowadzał nową jakość do uwarunkowań geopolitycznych na Bliskim Wschodzie, tak samo ustanowienie na powrót oficjalnych relacji amerykańsko-kubańskich stwarzało nową, znacznie korzystniejszą nie tylko dla interesów amerykańskich sytuację w Ameryce Łacińskiej.

Stany Zjednoczone pozostały więc państwem, od którego polityki i podejmowanych decyzji lub ich braku zależy w dużym stopniu globalna sytuacja międzynarodowa. Z racji potencjału i doświadczenia, a także niekwestionowanych atutów na Ameryce spoczywa w dalszym ciągu ogromna odpowiedzialność za porządek rzeczy w świecie. W dzisiejszym układzie sił, podobnie zresztą jak było przez ostatnie dziesięciolecie, USA ze swoją potęgą stanowią najważniejszy element konstelacji geopolitycznej oraz niezbędny czynnik bezpieczeństwa światowego.

Trzeba też zadać sobie pytanie, czy świat bez aktywnego w nim udziału Ameryki byłby bardziej bezpieczny, uporządkowany i przewidywalny. A przede wszystkim, czy nie kreowałby on nowych zagrożeń dla bezpieczeństwa samych Stanów Zjednoczonych? Trudno bowiem wyobrazić sobie, że to Chiny wraz z Rosją lub Unia Europejska do spółki z innymi państwami stworzą skuteczną i bezpieczną dla międzynarodowego otoczenia przeciwwagę dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Pozostaje zatem uznać jako najlepszą alternatywę aktywny, skuteczny i szeroko akceptowany udział Stanów Zjednoczonych w kreowaniu porządku na świecie, rozwiązywaniu jego problemów i podejmowaniu wyzwań. Świat potrzebuje skutecznej, wiarygodnej i mądrej misji przywódczej Ameryki.

Dlatego jest tak ważne, aby Ameryka utrzymywała swój autorytet i odzyskiwała zaufanie oraz wiarygodność. Na amerykański prestiż składa się w dużym stopniu



atrybut *soft power*, czyniący ze Stanów Zjednoczonych wzorzec politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturowego rozwoju. Trudno być przywódcą, opierając się tylko na sile wojskowej, której zresztą możliwości okazały się w ciągu ostatnich lat niekiedy niewystarczające, jakkolwiek pozostał to potencjał najsilniejszy w skali globalnej. Z drugiej strony polityka czystej dyplomacji, ukazywanie przede wszystkim łagodniejszej twarzy Stanów Zjednoczonych – co było cechą charakterystyczną dla niektórych działań administracji Obamy – nie zawsze wzmacniały rangę USA w świecie, niekoniecznie oznaczały skuteczność działania i prowadziły do osiągnięcia celu. Nie negując znaczenia pozytywnego wizerunku Ameryki i jej siły moralnej, to jednak supermocarstwo – zwłaszcza w świecie groźnych wyzwań – jest rozliczane przede wszystkim z decyzyjności, odwagi w działaniu i skuteczności. A to wymaga czasami wykorzystania argumentu siły, choćby jej zademonstrowania.

Mają rację również ci komentatorzy, którzy opowiadają się za utrzymaniem tradycyjnej misji Stanów Zjednoczonych – promowania w świecie demokracji. Nacisk na demokrację, liberalizm i prawa człowieka ma znaczenie strategiczne po części dlatego, że pozwala wykorzystać przewagę Ameryki i obnaża słabość państw autokratycznych. Zresztą zgodzić się trzeba z tezą, że nie ma bardziej realistycznej alternatywy, którą można by zaproponować jako model oddziaływania na ubogie i źle zarządzane kraje niż wartości demokratyczne. Ameryka nie powinna zrezygnować ze swego tradycyjnego posłannictwa, owego pierwiastka idealizmu w polityce, który – cokolwiek by powiedzieć – jest elementem amerykańskiej tożsamości politycznej. Jednak musi się to odbywać poprzez aktywną współpracę międzynarodową, „promieniowanie przykładem”, pomoc ekonomiczną, udzielanie wszechstronnego wsparcia.

Nie można też wykluczyć sytuacji – i tę ewentualność trzeba bardzo poważnie brać pod uwagę – że to autokracja, a nie system liberalnej demokracji będzie się rozpowszechniać w świecie. Wszak wbrew nadziejom „arabska wiosna” zaowocowała nie demokracją i wolnością obywatelską, ale nowymi dyktaturami, nawet spod znaku fundamentalizmu islamskiego. Autokratyczne reżimy mogą w przyszłości stworzyć silny front konkurentów i przeciwników czy wręcz wrogów Stanów Zjednoczonych/świata Zachodu. Zaoferują one pomoc i wsparcie tym wszystkim, którzy nie dostrzegają w zasadach liberalnych i demokratycznych atrakcyjnych dla siebie wartości. Może więc nastąpić proces odwrotny od przemian w latach dziewięćdziesiątych, gdy liberalizm i demokracja zdawały się być w ofensywie. Będzie to niezwykle trudne wyzwanie nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale całego świata Zachodu.



Dlatego jest tak ważne, aby przywództwo Stanów Zjednoczonych opierało się na autorytecie, powszechnie akceptowanych wartościach i zasadach, szerokim konsensie. Próby przyjmowania pozycji hegemona, narzucającego swą wolę, w dzisiejszym zróżnicowanym i nadzwyczaj rozbudzonym politycznie świecie będą rodziły zrozumiałe opór i niechęć, nawet wśród tradycyjnych amerykańskich sojuszników. Ameryka ma raczej pełnić rolę naczelnego dyplomaty, który w umiejętny i nie nachalny sposób będzie upowszechniał wartości, które są dobre z natury, a nie dlatego, że są amerykańskie. Będzie promotorem i gwarantem porządku międzynarodowego i stabilności, nie narzucając siłą swej woli, ale poprzez wiarygodność i budząc zaufanie.

Tych celów nie uda się jednak zrealizować w pojedynkę. Stany Zjednoczone przestają bowiem pełnić rolę jedyne i wszechmocnego mocarstwa. Bo jak powiada Zbigniew Brzeziński: „Ameryka jest najważniejsza, ale nie wszechmogąca”. Musi zatem radzić sobie w świecie, w którym nie będzie hegemonom, w którym różne, mniejsze potęgi „uzyskały lub uzyskają znaczący głos”. Chodzi też o to, że samotne działanie, oprócz wywoływania zrozumiałej irytacji i niechęci otoczenia, może doprowadzić do nadmiernego wyczerpania amerykańskich zasobów, a to oznaczać będzie dla Stanów Zjednoczonych utratę pozycji lidera. Aby USA mogły skutecznie pełnić rolę promotora i gwaranta porządku międzynarodowego oraz bezpieczeństwa światowego, muszą mieć partnerów. Jeśli chcą realizować w polityce cele globalne, muszą posiadać strategicznych sojuszników. W świecie, w którym następuje rozproszenie ośrodków siły i wiele z nich jest z założenia wrogich wobec Zachodu, takim naturalnym i najważniejszym sojusznikiem Ameryki pozostaje Europa. Utrzymanie bliskich związków amerykańsko-europejskich to czynnik imperatywny dla przywództwa Stanów Zjednoczonych.

Nawet jeśli się okaże, że to Azja/Chiny są obiektem priorytetowego zainteresowania Waszyngtonu i że aktywna tam rola USA jest kluczowa dla utrzymania stabilności w regionie i powstrzymywania aspiracji Państwa Środka, to jednak relacje z Europą, wzmacniając możliwości działania USA w świecie, a także podnosząc rangę i skuteczność Ameryki, pozostaną niezwykle ważne. Tendencja marginalizowania kontynentu europejskiego w polityce amerykańskiej, czego wyrazem był słynny *pivot to Asia*, chociaż uzasadniona przekonaniem o przesuwaniu się centrum gospodarczego z Zachodu na Wschód, a także błędną oceną, że Europa jest już bezpieczna, to jednak miała swoje negatywne konsekwencje. Przede wszystkim dla rangi i wiarygodności Ameryki. W jakimś stopniu stała się też przyczyną obudzenia się „europejskich demonów” – ekspansywnej polityki Rosji. Dlatego tak ważne jest



utrzymanie tego bezprecedensowego w dziejach sojuszu, nadanie mu nowych impulsów i wyznaczenie celów działania.

Najważniejszym „filarem” wspólnoty transatlantyckiej pozostaje NATO. Jego wzmocnienie stanowi warunek *sine qua non* silnego układu transatlantyckiego i mocnego przywództwa Stanów Zjednoczonych. Z kolei dobra kondycja NATO i jego skuteczne funkcjonowanie zależą w dużym stopniu od tego, jak bardzo Stany Zjednoczone, najsilniejsze państwo członkowskie Sojuszu, będą zainteresowane jego usprawnieniem, zdynamizowaniem i umocnieniem. Ważnym czynnikiem rewitalizacji NATO była zarówno nowa Koncepcja strategiczna, przyjęta w 2010 r., jak i decyzje podjęte podczas szczytu walijskiego w 2014 r. Podczas gdy ta pierwsza była głównie próbą odpowiedzi na podstawowe dylematy Sojuszu wynikające z napięcia między pierwotnymi zadaniami obrony i odstraszenia a globalnym zaangażowaniem militarnym, to druga odpowiadała na wywołane agresywną polityką Kremla poczucie zagrożenia w państwach Europy Środkowo-Wschodniej. W każdym razie ustalenia obu szczytów potwierdzały, że NATO pozostaje najsilniejszym sojuszem wojskowo-politycznym, gotowym podjąć nowe wyzwania i dostosować do nich swoje atrybuty. Od tego, w jakim tempie i w jakiej skali nastąpi implementacja przyjętych postanowień i jak będą one realizowane, zależy wiele: bezpieczeństwo państw członkowskich NATO, a także rola i ranga Stanów Zjednoczonych oraz możliwość ich skutecznego działania. Tylko z silnym Sojuszem Północnoatlantyckim, dynamicznym i skutecznym, USA będą mogły pełnić swą rolę lidera na arenie międzynarodowej.

Nie jest łatwo przewidzieć przyszłość. Jednak można zaryzykować tezę, że bezpieczeństwo i porządek globalny zależą w dużej mierze od tego, czy Stany Zjednoczone zechcą dalej pełnić rolę przywódcy. Nie ma bowiem na horyzoncie żadnej innej siły, która w sposób odpowiedzialny, wiarygodny i bezpieczny mogłaby przejąć od Ameryki taką powinność. I dobrze. „W swojej historii Stany Zjednoczone udowodniły, że w bardzo różnych sytuacjach potrafią stanąć na wysokości zadania” – pisał Brzeziński. I trudno się z tą opinią nie zgodzić. Jakkolwiek nie będzie już raczej możliwości zdominowania świata zróżnicowanych potęg przez pojedyncze mocarstwo, nawet tak potężne jak Stany Zjednoczone, lecz Ameryka jako przywódca, współdziałająca z innymi partnerami, wykorzystująca w sposób rozważny i adekwatny dostępne jej środki i metody działania, to jest jedyne sensowne rozwiązanie gwarantujące jako taką stabilność porządku w świecie. „Jesteśmy i musimy być przywódcą świata, bo nikt inny nas nie zastąpi” – mówił prezydent Obama. Trzeba trzymać go za słowo. Jego i następnych gospodarzy Białego Domu.



Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska – prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

